

Strażnicy

(historia nr 1.12 w serii książek Aimeiz, aimeiz.pl)

– Profesorze Selter, jak miło mi pana w końcu poznać! – powiedział schludnie ubrany, starszy mężczyzna z drewnianą laską w ręce. – Musimy natychmiast porozmawiać – dodał i wstawił stopę w szczelinę niezbyt przyjaźnie uchylonych drzwi biura Wamona Seltera.

– Co pan?! – natychmiast zareagował profesor, blokując ciałem wejście.

– A tak, przepraszam najmocniej! – intruz zaczął tłumaczyć najście. – Zapomniałem o protokole, bo lata już nie te, a i nowych ludzi za dużo nie spotykam – żartował bez skruchy, negując znaczenie naruszonej etykiety gościnności. – Nazywam się Walkin Onstrom i jak już wspomniałem, muszę z panem pilnie porozmawiać, a mam tylko pół godziny.

– Dzień dobry – powoli, jakby restartując rozmowę, przywitał mężczyznę Wamon. W myślach zdążył już rozpisać co najmniej dwanaście scenariuszy, które pozwoliłyby ubranej w biały, tradycyjnie skrojony garnitur postaci wejść na teren pilnie strzeżonego budynku Departamentu Psychologii Ośrodka Badawczego Floty w Draniesku. – W czym mogę panu pomóc? – zapytał z wymuszoną uprzejmością, przyglądając się drewnianej, zdobionej szlachetnymi metalami lasce, którą starzec wymachiwał jak batutą.

– Nie zaprosi mnie pan do środka? – pytaniem zaproponował Onstrom, spoglądając w pusty korytarz, jakby chciał pokazać, że jego obecność w tym miejscu jest co najmniej problematyczna. – Wie pan, nie chciałbym tak publicznie opowiadać o najtajniejszych projektach wojskowych, od których zależy los całego świata – z uśmiechem informował i choć w oczywisty sposób żartował, to równie wyraźnie sugerował, że jest to prawda na tyle absurdalna, że ogólnie głoszona może wzbudzać tylko sceptycyzm.

Profesor westchnął, niegotowy na takie błazeńskie wizyty pod koniec dnia, ale z grzeczności ustąpił i zaprosił mężczyznę do środka.

– Niech pan wejdzie – powiedział, gestem dłoni prezentując przestrzeń swojego biura.

Gość wkroczył w nią, jak żołnierz na defiladzie, gotowy odebrać medal za odwagę i kompletne wyzbycie skromności.

Walkin Onstrom miał siedemdziesiąt lat, aurę narcyzmu rozchodzącą się w powietrzu niczym perfumy zbyt szczerze nałożone i srebrne, długie, związane w warkocz włosy. Ubrany w jasny garnitur i brązowe buty pod kolor drewnianej laski, krytycznym spojrzeniem zmierzył pokój, a potem ruszył w stronę wydzielonej części mieszkalnej, której granicę wyznaczała wielka, stara szafa.

– Widzę, że próbuje pan oderwać pracę od życia prywatnego – zauważył, bezwstydnie wchodząc w przestrzeń osobistą profesora. – Po tylu latach w ośrodku wciąż utrzymuje pan pozory dawnego stylu życia, kiedy produkcja i konsumpcja były dwoma trybami w tej samej maszynie kapitalizmu. To fascynujące – stwierdził, biorąc z półki jedną z zakurzonych książek. – Czyta pan Orwella – stwierdził nieco zaskoczony. – Nie znam tego tytułu, o czym jest? – zapytał i pokazał okładkę z wielkim tytułem „Keep the Aspidistra Flying”.

– O botanice.

– Poważnie? – zdziwił się Onstrom, z obrzydzeniem odkładając relikwiarz przeszłości na miejsce. – Wie pan, każde uwielbienie powinno mieć granicę, bo nawet najmniej szkodliwe hobby może obrócić się przeciwko nam.

– Nie wiedziałem, że też pan jest psychologiem – skomentował Wamon, blokując ciałem drogę gościowi, który najwyraźniej zamierzał obejść każdy metr pomieszczenia, zanim przejdzie do rzeczy.

– A skąd, nie jestem! Nie znoszę psychologów – wybuchnął oburzeniem Onstrom i zawrócił w stronę gościnnej sofy i niskiego stolika przed nią. Zanim usiadł, sprawdził dłonią, czy aby na pewno stary, przetarty materiał nie pobrudzi jego garnitur, a potem przez dobre kilkadziesiąt sekund szukał oparcia dla swojej laski. Jej złota głowa lwa musiała koniecznie mieć widok na całe mieszkanie.

Bez słowa uwagi Wamon usiadł w fotelu obok kanapy i uśmiechał się obojętnie tak, jak to robią młodszy, by wyrazić wymagany kulturą szacunek starszym od siebie.

– Dobrze, dobrze – dukał nerwowo Onstrom, szukając pożywki dla oczu. – Bardzo tu ładnie. Jestem pod wrażeniem luksusów, jakie pan zgromadził – skłamał, poklepując stary stolik przed sobą. Sprawdzał, czy klej, który go łączy, nie puściłby pod naporem kubka.

– Mówi pan o tych paru meblach starszych ode mnie, jakie z trudem odrestaurowałem?
– Cóż, przeciętni pracownicy hali nie mają nawet własnej bielizny, więc trudno mi tu cokolwiek krytykować.

– Kto szuka, znajduje – stwierdził Wamon, nie ściągając maski uległego ucznia z twarzy.

– Wie pan, że miał pan przyjemność uczyć moją córkę w Akademii? – zapytał z zaskoczenia Onstrom.

– Nie przypominam sobie uczennicy z pańskim nazwiskiem. To było bardzo dawno temu, a ja też zbyt długo nie pracowałem jako nauczyciel.

– No tak, to było dawno temu.

– To o kogo chodzi? – zapytał Wamon, doskonale znając odpowiedź.

– Mówimy o nadzorcy do spraw dystrybucji zasobów ludzkich w Instytucie Nadzoru Ludności, pani Sereday – dumnie oznajmił Onstrom.

– A, tak – bezinteresownie i chłodno potwierdził profesor, w sercu celebrując rozczarowanie gościa swoim brakiem entuzjazmu. Zastanawiał się też nad znaczeniem tak formalnego przedstawienia tej bądź co bądź bliskiej mu kobiety. – Faktycznie, uczyłem ją przez chwilę. To prawda – mówił, z trudem budząc w sobie zainteresowanie tematem.

– I co pan o niej sądzi?

– Mnie pan pyta? To pana córka.

– Nie mamy zbyt udanych kontaktów, niestety – przyznał Onstrom z grymasem na twarzy. – Jednak dobrze sobie poradziła, prawda? Jest kontradmirałem i jedną z ważniejszych osób w strukturach Floty. Oczywiście bez mojej ingerencji aż tak by się nie wybiła, zwłaszcza że jej matka była oskarżona o terroryzm. Bez dwóch zdań to bardzo bystra dziewczyna – oznajmił ze skromnością, która aż kipiała samouwielbieniem. – No, w zasadzie to już kobieta – poprawił uwagę, szukając w zmrożonym uśmiechu profesora jakiegokolwiek reakcji. – Napisała nawet książkę, ale teraz wydać książkę jest niewykonalne. Wie pan jak to jest. Wielki Plan nie szuka marnotrawstwa. Czytałem ją. Jest pięknie napisana, choć pełna dziecięcych fantazji, tak nieadekwatnych w dzisiejszych czasach – mówił, zanurzając się w pogardzie do wrogiej mu powściągliwości.

Wamon nie słuchał, próbując nakreślić listę patologii, jaka zżerała zdeformowaną rodzinę gościa z przerażająco posuniętą manią samouwielbienia.

– W jej sprawie pan przychodzi? – zapytał, przełamując w końcu udawaną uprzejmość.

– Nie, nie. Tak tylko wspomniałem ją, wie pan, jako taki most w rozmowie – tłumaczył z przejściem Onstrom, spoglądając na swój prawy nadgarstek, na którym nosił klasyczny, od lat niespotykany, zegarek tarczowy. Albo nie mógł znaleźć słów, by przejść do rzeczy, albo coś go mocno irytowało. – Czy wierzy pan w Wielki Plan? – zapytał, ewidentnie niegotowy zdradzić celu swojej wizyty.

– Dziwne pytanie. Zapewne pan wie, że pracuję tu prawie trzydzieści lat nad projektem przystosowania ludzi do wydłużonego pobytu w przestrzeni kosmicznej. To chyba mówi samo za siebie.

– Ale czy pan wierzy w powodzenie Wielkiego Planu? – dopytywał Onstrom, przeszywając profesora spojrzeniem na wylot. Chciał dostrzec najskrytsze jego wątpliwości.

– Tak – odpowiedział Wamon, irytacją maskując zawahanie.

– I myśli pan, że w ten sposób uratujemy świat?

– Pyta pan o to dwa lata przed domniemaną śmiercią Słońca?

– Cóż, faktycznie – Onstrom przyznał z niepewnym uśmiechem, który powoli gasnąc, wypełniał pomieszczenie skrępowaniem. Szukając słów, by wrócić rozmowę na właściwe tory, podskakiwał kolanem i drżącą na nim dłonią, choć nie ze stresu, a z powodu ewidentnej choroby. – Ma pan rację. Wszystkie główne siły na świecie budują floty z nadzieją, że unikną zagłady – mówił. – Nawet Chińczycy, którzy z mordowania się nawzajem zrobili narodowy sport, tworzą własną armadę. To musi coś znaczyć – zakończył z nieprzekonaną miną.

– Pan się z tym nie zgadza?

– Jakby to ująć – nakreślił długi wywód Onstrom, już zmienionym tonem zdradzając niepoprawne poglądy. – Wielki Plan ma bardzo poważną wadę u swych podstaw. Upchanie całej ludzkości na pokładach niewielkiej Floty jest miniaturowym problemem, jeśli spojrzeć na fakt, że ludzkość nie ma gdzie specjalnie się udać. Rozumie pan? Nie znaleźliśmy dotychczas planety, która byłaby w stanie

utrzymać pojawienie się na jej powierzchni milionów ludzi. Nie mówiąc już o tym, że budowane statki to fuszerka...

– Fuszerka? – wtrącił Wamon, zaskoczony dawno niesłyszonym słowem.

– Tak, tak. Wiem coś o tym. Chociażby „Santlite 75”, okręt flagowy Floty, duma Zjednoczonych Narodów, ostrze i tarcza ludzkości, kompletna porażka – Onstrom przedrzeźniał tytuły nadawane najważniejszej jednostce we Flocie. – Zbudowany ze specjalnego kompozytu, którego nikt nie przetestował. Gdyby chociaż wystawili ten materiał na działanie kosmicznej radiacji, odkryliby, że ma poważną wadę. Poza tym cała jego konstrukcja to sito, zlepek prowizorycznych łat. Czy pan wie, ilu zarządców pracowało nad tym okrętem? Wie pan? – dopytywał nakręcony przemową. – No właśnie, nikt tego nie wie. Nawet w ZN nie wiedzą, bo każdy kolejny zarządca albo się zabijał, albo go zabijali i w rezultacie nikt nie wie, na czym ten kolos w ogóle stoi. Nie chciałbym być na miejscu jego kapitana. Biedny człowiek, mógł zaakceptować moją propozycję – stwierdził, kiwając z przejęciem głową i roniąc sztuczne łzy współczucia nad błędną decyzją naiwnego przyjaciela.

– Do czego pan dąży? – zapytał Wamon, szukając kontaktu z chronicznie orbitującym wokół sedna mężczyzną.

– Już tłumaczę, niech się pan tak nie niepokoi – Onstrom uspokajał profesora, studzącym gestem dłoni wzbudzając w nim fale niepohamowanego gniewu. – Wygląda na to, że ludzie będą musieli spędzić na pokładach tych badziwnych okrętów całkiem sporo czasu, być może wiele lat, kto wie, dekady. Pytanie więc, czy będziemy w stanie to przetrwać?

– I tego chce się pan ode mnie dowiedzieć? – zgadywał Wamon, zaciskając dłonie na poręczach fotela. Był bliski podjęcia decyzji, by wyprowadzić nachalnego gościa siłą. – Dobrze, już rozumiem, do czego pan zmierza. Zgadzam się, wszystkie badania pokazują, że wieloletnie przebywanie w kosmosie nie wyjdzie ludziom na dobre, ale...

– To wiedziałem już czterdzieści lat temu, gdy rozpoczynałem pracę nad swoim projektem – wtargnął mu w zdanie Onstrom. – Ludzie nie zostali stworzeni do lotów kosmicznych i w ogóle do przebywania w kosmosie, no może poza przypadkiem Aimeiz.

– Aimeiz?

– Nie słyszał pan? No tak, to w końcu tajemnica wojskowa – przyznał Onstrom, i zanim zdradził cokolwiek, poprawił oparcie łaski, jakby jej wygoda była ważniejsza niż rozmowa. – Tylko niech pan nikomu o tym nie mówi, bo zaraz pana oskarżą o terroryzm, wytargają z biura i przeciągną po całym budynku, żeby się inni dla przykładu napatrzyli – ostrzegął żartem. – Aimeiz to okręt, na który uciekło już kilkadziesiąt tysięcy naukowców z całymi rodzinami – tłumaczył jak dziecku.

– Jak to uciekło?

– Normalnie, przed DARPA, piekłem Ziemi, w poszukiwaniu lepszego życia, nieważne w sumie, bo pomijając tę obcą technologię, nasza teza...

– Obcą?! – krzyknął Wamon i zerwał się z fotela, przez chwilę oszołomiony zawrotem głowy towarzyszącym nagłej zmianie położenia. – Chce pan powiedzieć, że odkryliśmy obcą technologię w kosmosie?!

– Niech pan nie udaje zaskoczonego. Przecież to żadna tajemnica, że ludzie od lat posługują się obcą technologią – zauważył Onstrom i zachęcił profesora do powrotu na miejsce.

Wamon nic jednak nie słyszał, bo stał po pas zanurzony w wartkim strumieniu absurdu, obcesowości i ignorancji, które niespotykaną mieszanką zagłuszały jego rozsądek. Z trudem kontrolując gniew i pogardę dla mężczyzny, próbował przetrwać właśnie pozyskaną informację, decydując, czy chce dowiedzieć się więcej, czy woli wykopać snoba za drzwi.

– Nie chce pan usiąść, to może pan stać. Ma pan jeszcze... – mówił, patrząc na zegarek Onstrom – ...około dziewiętnastu minut na podjęcie decyzji, bo później muszę lecieć. A wracając do dyskusji – kontynuował, biorąc do ręki wcześniej odstawioną łaskę z głową lwa, której wierzchołek zdobił wyraźnie odczepiany amulet z motywem gęsto ułożonych liści. – Ludzie nigdy nie byli przystosowani do pobytu w kosmosie, dlatego już czterdzieści lat temu rozpocząłem pracę nad swoim projektem. Tutaj muszę napomnieć, że bez pomocy matki Silli i jej wiedzy, badań, a nawet wyjątkowych zdolności aktorskich niewiele bym zdziałał – przyznawał, odrywając się od brzegu rozmowy w stronę otwartego oceanu wspomnień. – To była wspaniała kobieta i jeszcze przyjdzie czas, gdy jej za to podziękuję, choć raczej już nie osobiście. Natomiast – próbował wrócić do macierzystego portu – po latach zmagania z porażkami, wreszcie jesteśmy blisko sukcesu. Pewnie chciałby pan poznać szczegóły

tego projektu, lecz niestety nie mogę ich zdradzić do momentu, aż nie zgodzi się pan do niego dołączyć. Nie usiądzie pan? – zapytał.

– Chce mnie pan zaprosić do projektu, na którego temat nie mogę się nic dowiedzieć? – Wamon próbował zrozumieć cokolwiek, patrząc z góry na gościa. Dziwnie sztywne nogi blokowane niezdecydowaniem, strachem, może obawą przed poczuciem porażki trzymały go w pionie.

– Nie, nie, spokojnie – Onstrom znów próbował ugłaskać gospodarza arogancją, która zburzyłaby każdą spokojem murowaną fortecę. – Oczywiście, że przedstawię panu projekt. Niech pan będzie cierpliwy i usiądzie – poprosił z pasywnie-agresywną grzecznością, zaskoczony posłuchem, z jakim profesor opadł na fotel.

Ściągała go grawitacja kumulującej się w nim odporności na bzdury.

– O, usiadł pan – złośliwie zauważył gość. – W każdym razie, nie przeciągając, projekt SIRA ma na celu przygotowanie rasy ludzkiej do postłonecznych warunków – rozpoczął jak w audytorium przed grupką pierwszorocznych studentów. – Naszym zadaniem jest uodpornić ludzi na panujące w kosmosie warunki zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Mniej więcej tyle mogę panu powiedzieć.

– Innymi słowy robicie to, co my tutaj.

– Nie, nie, nie – żywiłowo zaprzeczał Onstrom, wyraźnie obrażony tym porównaniem. – Ten ośrodek badawczy to komedia, nie przyszłość. Prowadzone tu zabawy nic do planu przetrwania ludzkości nie wnoszą, a mój projekt, jeśli odniesie sukces, pozwoli nam zasiedlić całą galaktykę.

– A cały wszechświat? – zapytał Wamon z pękającym na ustach uśmiechem.

– Rozumiem, myśli pan, że jestem megalomanem. Jednak to mi nie przeszkadza, bo wiem, że w przyszłości ludzie zrozumieją, że ocaliłem ich od zagłady, i to dwa razy.

– A co ja miałbym w tym projekcie robić? – dopytywał profesor, odsiewając przerost ambicji gościa od sedna ich żenującej rozmowy.

– Potrzebujemy wsparcia – stwierdził Onstrom i na chwilę zamilkł zamyślony. – Tak wsparcia, chodzi o wsparcie psychologa przy współpracy z osobami, które biorą udział w projekcie.

– Wsparcia? – powtórzył Wamon i niemal nie wybuchnął śmiechem, gotowy przekleństwem odmówić i wyrzucić upierdliwego gościa za drzwi. Jednak ciekawość ciągnęła go w meandry zuchwałości starca, gdzie żądza rewanżu miała swoje uzasadnienie. – Dobrze, potrzebuje pan psychologa. Tylko dlaczego miałbym chcieć dołączyć do tego projektu, wiedząc jedynie, że ma pan problem ze swoimi obiektami badawczymi? – zapytał i ugrzązł w oniemiałym spojrzeniu mężczyzny, który nie mógł uwierzyć, że tak hojna propozycja może spotkać się z odmową.

– Profesorze – kontynuował Onstrom pochylony w stronę gospodarza – mój projekt rozwija się od czterdziestu lat i po czterech dekadach pracy jesteśmy o krok od stworzenia nowej rasy ludzi, którym obce będą nasze słabości. Starość, podatność na drobne zmiany atmosferyczne, uzależnienie od wody, jedzenia, snu, ograniczenia umysłu, choroby – wymieniał, licząc je na palcach – to wszystko może być wspomnieniem. Proszę sobie wyobrazić, co moglibyśmy zrobić, pozbywając się, na przykład, potrzeby oddychania. Ile światów stałoby się dla nas rajem! To jest sposób na ratunek ludzkości: przejście na wyższy poziom ewolucji, a nie budowa okrętów, które pomogą tylko przedłużyć agonię rasy ludzkiej. Rozumie już pan? Wyzaczyłem ludzkości trudny do zrealizowania cel, ale obrona przeze mnie droga przynosi efekty – stwierdził i zamilkł, licząc na to, że teraz znajdzie w oczach profesora zrozumienie.

Wamon jednak przykładał większą wagę do gestów mężczyzny niż jego słów. Traktował go jak pacjenta z urojeniami i zdegenerowaną osobowością, który zabrnął pod przypadkowe drzwi z wymyśloną po drodze opowieścią.

– Muszę się zastanowić – w końcu powiedział zgodnie z zasadą, by nigdy nie odmawiać osobom niezrównoważonym.

– Zastanowić?! – wybuchnął rozczarowaniem Onstrom, uderzając laską w wykładzinę. – Daję panu szansę na udział w największym projekcie ludzkości, a pan musi się zastanowić?! Jeśli obawia się pan, że pogorszą się pańskie warunki, to proszę się nie martwić. Dostanie pan wszystko, o czym można zamarzyć. Dysponuję możliwościami, których ten zacofany ośrodek nie jest w stanie panu zapewnić! – głośił, jak podirytowany kaznodzieja, grożąc mu złotą głową lwa.

– Mam wszystko, czego potrzebuję.

– Rozumiem już. Boi się pan – orzekł Onstrom.

– Podobno nie jest pan psychologiem?

– Ja? Skąd! Nie muszę nim być, żeby widzieć, że pan po prostu boi się zmiany. Po dwudziestu siedmiu latach siedzenia w tym budynku ogarnia pana strach przed jego opuszczeniem. To normalne.

– To normalne? – dopytywał Wamon, śledząc wzrokiem latającą mu koło twarzy drewnianą laskę.

– Tak, tak, normalne, ale ja daję panu szansę na zmianę i gwarantuję, że pana praca realnie pomoże ocalić ludzkość. Trudno chyba o większą satysfakcję, nie sądzi pan?

– To, co pan mówi, jest bardzo interesujące, ale nie zmienia to faktu, że decyzja ta wymaga przemyślenia, nie sądzi pan? – Wamon naśladował gościa z przekonaniem, że rozmowa dawno przekroczyła próg nieodwracalnej abstrakcji.

W odpowiedzi na cios Onstrom skamieniał na sofie i tylko jego ręka chodziła po wertykalnej osi, odmierzając czas tępyimi uderzeniami laski o podłogę. Oстрыm płomiennym spojrzeniem mężczyzna zatopił w rywalu obietnicę zemsty, a potem długo obaj ścierali się w pojedynku żelaznych min, jednej wykutej w powadze, drugiej ze śladowym stopem sarkazmu.

– Rozumiem – Onstrom przełamał ciszą splątany pat, spoglądając na zegarek i podnosząc się z sofy. W dłoni, jak miecz, dzierzył swoją laskę, błyskawicznie wracając do obojętnie pogardliwej postawy z początku rozmowy. – Nie uważa pan, że mówię poważnie. Faktycznie, niech pan sobie to przemyśli. Proszę jednak pamiętać, że decyzja już zapadła, nawet jeśli nikt jej głośno wcześniej nie wypowiedział. Wiedza jest zabójczym przyjacielem, kiedy nikt nie ustala reguł – rzekł głosem skruszonego winą przestępcy. – Rozumie pan?

– O czym pan w ogóle mówi?

– Los całej ludzkości, jak widzę, jest w rękach głupców. Rozumie pan? – zapytał Onstrom z nadzieją, że jego teatralna poza nad stolikiem kawowym nadała wystarczającą majestatyczność wygrzebanemu z otchłani doświadczeń cytatowi. – To w naszym obowiązku jest poprowadzić świat. Niech pan to dobrze przemyśli. Również o dwudziestej dostał pan na pocztę kilka materiałów dotyczących projektu wraz z teczką postaci, którą chciałbym, żeby pan się zajął.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Na wszystko jest sposób.

– Grozi mi pan? – natychmiast zareagował Wamon, powoli podnosząc się z miejsca, by tym trikiem aktorskim zbudować postrach chwili.

– Ależ pan jest wrażliwy! – przedrzeźniał jego reakcję Onstrom. – Miałem na myśli to, że jeśli pan się nie zgodzi, to mogę poszukać kogoś innego. Wie pan, poza tym gdybym chciał panu grozić, to wspomniałbym pana wieloletnią współpracę z odwróconymi – przyznał lekkim głosem, jednocześnie gilotyną słów tnąc więzadła w nogach profesora.

Zatopiony z powrotem w fotelu Wamon rozumiał już, dlaczego nieproszony gość tak zuchwale i butnie wkroczył w jego życie. Cały czas miał go w garści i tylko wyczekiwał chwili, kiedy ofiara będzie czuć się najpewniej, by bez ostrzeżenia wbić nóż w jej serce.

Jak zwycięzca, Onstrom stał nad nim, uśmiechnięty i z poczuciem władzy, której Wamon Selter nie mógł mu odmówić.

– Tak więc, reasumując, proszę zapoznać się z dokumentami, a ja zorganizuję panu lot do Rilington pojutrze o dziewiątej rano – gość przekazywał informacje niemal w formie lokalnego obwieszczenia, gdzieś tam przemycając w głosie zadowolenie z doskonale wyprowadzonego ciosu. Spojrzał jeszcze na zegarek, przetrzymał nienaturalnie chwilę i mówił dalej. – Przybędzie po pana pewien oficer i proszę się nie martwić, wszystkie formalności już zostały dopełnione. W zasadzie od wczoraj jest pan pracownikiem SIRA, choć oczywiście nie pod taką nazwą. Zresztą sam pan zobaczy – dodał, znów sprawdzając czas. – Pora na mnie, bo wybiła dwudziesta trzydzieści – oświadczył, uderzając laską o blat stolika z hukiem, który jak strzał dobił profesora. – Mam tylko nadzieję, że zderzenie z majorem Marsellaseem nie będzie dla pana egzekucją. Trochę byłoby szkoda – zażartował i zaśmiał się, choć skromnie i krótko, by okazać w ten sposób laskę przegranemu.

– Ale... – Wamon zaczął z nadzieją, że język sam splecie słowa w jego obronie.

– A nawet gdyby, to nie będzie to chyba wielki problem – przerwał mu Onstrom. – Nie ma pan rodziny, przyjaciół, w zasadzie żadnego dobytku. Nic tu pana nie trzyma, nawet kuracja na to swędzenie, co tak pana ostatnio męczy – opowiadał, wyczytując w oczach profesora rodzące się pytanie, na które natychmiast odpowiedział. – Ależ pan mnie rozczarowuje! To oczywiste, że wiem o panu wszystko. Przecież nie zapraszałbym przypadkowych osób. Wiem nawet, kiedy ostatnio pan pił piwo i jak często wychodzi na dach, by popatrzeć na gwiazdy. Dodam, że jest to w ośrodku zabronione – przestrzegając, wytykając laską Wamona. – Choć dla nas to bardzo cenna pańska cecha. To

co? Wszystko mamy ustalone? W takim razie do zobaczenia – powiedział, grzecznie się uklonił i wyszedł, zostawiając profesora, jak znokautowanego rywala na ringu.

Wamon Selter był idealistą, ale twardo stąpał po ziemi, wierzył w doskonałe dobro, ale nie ufał ludziom, marzył o podróżach w błogim zaciszu swojego pokoju i pomagał wszystkim, samemu tonąc w problemach. Nie zdradzał ich, tak jak żadnych innych emocji, które buzowały w nim niczym sztormowe nieposkromione fale. Sprzeczności go wyznaczały, definiowały, pozwalały perfekcyjnie wykonywać swoją pracę i sprawiały, że kompletnie gubił się w relacjach międzyludzkich, jakie rozważał tylko w czysto naukowej sferze. Był doskonałym dawcą, beznadziejnym biorcą i krytykiem świata we własnej głowie. Skończył pięćdziesiąt sześć lat i wciąż nie miał pewności, czy już dorósł, choć czuł, że jest od wszystkich o dekadę starszy. Tak rozbity, ale ze skrupulatnie rozrysowanym w wyobraźni wszechświatem, spokojnie płynął przez rzeczywistość, zamaskowany i podziwiany za spokój, wiedzę, mądrość i stabilność podkreślaną przez siwe już na bokach włosy.

Wciąż przystojny, ze spojrzeniem tajemniczego romantyka, milczeniem zdobywał serca, a przyjaznym uśmiechem zaufanie. Był skromny, przynajmniej na zewnątrz, zawsze gotowy, pewny siebie i chwalony za prowadzone badania w zakresie samotności i odosobnienia w warunkach kosmicznych. To te referencje musiały przyciągnąć przedwczoraj do jego biura Walkina Onstroma, a dziś oficera jednostki specjalnej SIRA, który miał zabrać go do Rilington. Wamon nie miał wyboru, został przeniesiony, dokładnie tak jak powiedział mu nieproszony gość, i od teraz pracował dla specjalnej jednostki badawczej pod jurysdykcją pionu Floty Wschodniej, podległej z kolei Komisji Rozwoju i Prac Naukowych w Dywizji Rozwoju Zgromadzenia Narodowego. Nie myśląc nad zagmatwaniem struktur rządowych, spakował walizkę z podstawowymi rzeczami i ruszył za mężczyzną w czarnym kombinezonie o przerażająco białej cerze i twarzy zdradzającej, że wolałby nie wracać tam, skąd przybył. Profesor nie pytał też o towarzyszących mu żołnierzy w piaskowych mundurach i z małą literką „z” w miejscu oznaczenia jednostki. Na pewno nie należeli do sił DARPA, ale w ośrodku badawczym Floty czuli się jak u siebie.

Przez prawie czterdzieści minut lotu helikopterem Wamon przeglądał jeszcze dokumenty, które podesłał mu Onstrom. Szczególną uwagę zwrócił na profil Brada Marsellasa. Z długiej i nudnej jego historii, pełnej bezużytecznych faktów z lat młodzieńczych i pobytu w ośrodkach szkoleniowych, profesor dowiedział się, że był żołnierzem sił DARPA do dnia, w którym poświęcił zdrowie, by ratować kolegów. Raport niewiele podawał szczegółów, poza tym że po tej akcji antyterrorystycznej Marsellas spędził trzy miesiące w szpitalu i nigdy do służby nie wrócił. Wśród zasług wyróżniała go Gwiazda Honoru, a kontrastowała z nią nagana za uderzenie starszego oficera, który według wersji Brada niesłusznie skazał całą drużynę na karę za przewinienie jednej osoby. Znowu raport nie zdradzał wielu szczegółów. Mnóstwo informacji wycięto lub przeredagowano tak, że dokument wyglądał jak zlepek słów na siłę wiązanych w spójną całość przez biednego edytora, posadzonego do niewykonalnego zadania.

Helikopter wleciał nad ruiny miasta Rilington we wschodniej Europie, płynąc w powietrzu nad zgłiszczami usłaną równiną. Betonowy horyzont i nieskończone fale gruzu wieściły namacalną już przyszłość, dając namiastkę resetu cywilizacji, która wciąż szukała tu schronienia dla swoich najtajniejszych projektów.

Niosąca Wamona maszyna bezgłośnie osiadła na kawałku wysprzątanej ziemi przed jakimś rozsadzonym budynkiem. Jego frontowa ściana zapadła się do środka, odsłaniając przekrój kilku pięter, gdzie wciąż w rzędach stały opuszczone ławki. Być może kiedyś była tu szkoła. Wpatrzony w ten symboliczny obraz profesor wyskoczył z helikoptera. Na chwilę stracił równowagę, trafiony momentem totalnej przejrzystości, której towarzyszyła końska dawka poczucia wolności, skażonej jednak kompletnym wyzbyciem nadziei. Kompozycja pozornie sprzecznych wrażeń wyrwała go na chwilę z rzeczywistości, zamykając w dziecięcym świecie nieskazitelnym marzeń i wyolbrzymionych koszmarów. Jak wahadło przenikał między nocą potworów a baśniowym dniem, czerpiąc przyjemność z przepływających świtem i zmierzchem emocji. Z tego rozkosznego i przerażającego zarazem stanu wyrwała go postać zrodzona z cienia zrujnowanego budynku. Kolejny błąd jak ściana oficer mknął przez zalany Słońcem plac, mrużąc oczy i wyginając się pod ciężarem wgniatających go w ziemię, niczym deszcz, promieni.

– Dzień dobry, profesorze. Podpułkownik Dartan Sillesiano – przedstawił się mężczyzna i wyciągnął w jego stronę rękę.

– Dobry – odpowiedział Wamon, wymieniając z nim uścisk dłoni.
– Pewnie zastanawia się pan, po co tutaj pana sprowadziliśmy.
– Chętnie się tego w końcu dowiem.
– Wszystko panu wytłumaczymy w ośrodku. Proszę za mną. Bagaż może pan zostawić – polecił oficer i zawrócił w stronę wyrwy w ścianie budynku, za którą skrupulatnie skrywano zejście do podziemnego kompleksu SIRA.

Wamon przekroczył z cienia uszytą kurtynę betonowej jaskini, gdzie mrok koił oczy i jednocześnie przeszływało ciało dreszczem tragedii, jaka musiała się tu rozegrać. Popękane mury, niczym fizyczny odcisk krzyków dzieci, dawały świadectwo dawno już zapomnianej zbrodni. W odkrytej ziemi tego przekłętego miejsca wryto wąski otwór, a w nim schowano schody, zapraszając sztucznym światłem do środka. W towarzystwie uzbrojonych żołnierzy, tym razem ubranych w czarne mundury DARPA, Wamon zszedł poziom niżej. Znalazł się w białym korytarzu wyłożonym metalowymi płytami, które szczękającym dźwiękiem zgłaszały różnice w obuwiu noszonym przez osoby wkraczające na teren ośrodka. Wyjście na powierzchnię odciał im betonowy blok, pozostawiając tylko jeden możliwy kierunek ruchu: prosto przed siebie przez trzy grube słupy. Przy każdej z nich stalowe, okrągłe drzwi rozsuwały się z jękiem zmęczenia i lenistwem nabytej masy, odsłaniając kolejną część tunelu, który prowadził lekko w dół, co Wamon wyczuł o ciężale opadającą stopą. Korytarz kończył się bramą z grubych, srebrnych kolumn ściśniętych w pofalowaną taflę metalu.

– Spodziewacie się jakiejś inwazji, czy może trzymacie w środku dinozaury? – zapytał profesor, wywołując uśmiechy na twarzach żołnierzy.

– Zaraz pan sam zobaczy – odpowiedział podpułkownik, budując nastrój wielkiej tajemnicy.

Czerwona poświata zalała korytarz, a połyskująca brama powoli ustępowała, rozdziawiając paszczę, której wirujące kły wkręcały się w sufit i podłogę, odsłaniając wnętrze ukrytego pod ziemią laboratorium. Z klaustrofobicznego kanału Wamon wkroczył w otwartą przestrzeń szklanych ścian i sal pełnych krzesel i tablic. To tu naukowcy debatowali o strunach rzeczywistości, wymiarach czasu, płaszczyznach grawitacji i innych teoriach odzwierciedlających istotę stworzenia i niosących destrukcję w rękach niepo czytanych osób.

– Czy to o tym mówił Onstrom? – głośno myślał Wamon.

– Proszę? – zapytał podpułkownik, prowadząc gościa głównym holem kompleksu.

– To jedyny poziom? – zmienił temat Wamon, zaglądając w mijane korytarze niczym w pojedyncze kadry innych filmów, gdzie długie, jasne tunele prowadziły do różnorodnych zakończeń historii.

– W ośrodku są cztery poziomy – opowiadał oficer, prac do przodu, jakby gonił go czas. – Na tym piętrze mamy sale noclegowe i biura, a poniżej jest laboratorium, gdzie odbywają się eksperymenty – mówił wykręcony bokiem do podążającego za nim profesora. – Na trzecim poziomie jest już realizowany projekt, a na samym dole... – przerwał, kończąc podróż przed białymi drzwiami, które złane ze ścianą były nakreślone tylko delikatną, opływającą je szczeliną. – Reszty dowie się pan od generała – stwierdził z lekką zadyszką i wskazał ręką wejście.

Oślepiiony jasnym światłem i oglupiony labiryntem ośrodka, Wamon mimowolnie wyobraził sobie sylwetkę rosnącego mężczyzny, który mówiąc ideologicznie nasączonym językiem, od razu przejdzie do rzeczy, jak ci wszyscy dowódcy w wojennych filmach starej daty. Gotowy zweryfikować ten przeblysk przyszłości i popychany lekko z tyłu, profesor wkroczył do ciemnego zadymionego pokoju, gdzie czekał już na niego generał dywizji Gerald Coverly. Wyglądał dokładnie tak, jak Wamon myślał. Był potężnym mężczyzną o siwych włosach i ogromnych dłoniach, które miażdżyły palce podczas przywitania. W porowatej skórze twarzy skrywał kurz wojennych doświadczeń.

– Przejdźmy do rzeczy, profesorze – oznajmił generał, uwalniając połamaną rękę gościa i wskazując mu proste drewniane krzesło naprzeciw biurka. – Kawy? – zapytał.

– Nie, dziękuję.

– A ja sobie zrobię – oświadczył mężczyzna, podszedł do automatu w rogu pokoju, wcisnął jakiś guzik i usiadł w skórzanym fotelu, nerwowo wpatrzony w profesora, który zdażył już wygodnie zająć przydzielone mu żołnierskim gestem miejsce.

Wamon policzył brudne kubki zepchnięte do rogu stojącego przed nim biurka. Próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego choć świat zmienia się na ich oczach, ludzie wciąż tkwią w sidłach tych samych, obrzydliwych przywar, które on już dawno porzucił. Całe pomieszczenie krzyczało brudem i bałaganem, a chrupanie pod stopami przerażało go nie mniej niż zaciśnięte zęby generała.

– Mamy problem – powiedział dowódca, wykładając otwarte dłonie na blat pełen zaschniętych kręgów z kawy. – Zapoznał się pan z postacią Brada Marsellasa? – wprost zapytał profesora rozkojarzonego nagłą zmianą otoczenia.

Wamon przeciągnął ciszę, próbując na siłę opóźnić start nieprzyjemnej dla niego rozmowy.

– Tak – powiedział wzdychając. – To były żołnierz DARPA, bohater i idealista o silnej potrzebie sprawiedliwości – stwierdził, wyciągając z pamięci historię postaci.

– Idealista – powtórzył generał, przytakując bezsensownie głową.

– Czy mogę się w końcu dowiedzieć, dlaczego zostałem tu sprowadzony? Wiem, że prowadzicie badania o co najmniej mało etycznej naturze, ale do tej pory nikt mi nie chciał wyjaśnić, co dokładnie tu się dzieje. Może już pora?

– Ależ pan niecierpliwy – stwierdził dowódca, jak alarmem dzwoniąc słowami w uszach Wamona.

– Już śpieszę tłumaczyć – dodał i odchylił się w fotelu, zbierając w myślach fakty. – Wszystko oficjalnie zaczęło się w 2116 roku. Bez obaw, to nie będzie długi wykład – zapewnił, spoglądając na zegarek zawieszony nad wejściem. – To wtedy kilku członków ZN doszło do wniosku, że plan budowy Floty nie ma szans powodzenia i nie ocali ludzkości. Co najwyżej przedłuży naszą agonię, tylko po co? To Walkin Onstrom przekonał ich, że szanse na znalezienie dla nas nowej planety są znikome, a życie na statkach to nie do końca dobry pomysł. Wtedy właśnie oficjalnie powstał projekt SIRA i dziś, prawie czterdzieści lat później, ponad dwie setki naukowców pracuje nieprzerwanie, by zrealizować pomysł, który wtedy wydawał się absurdalny.

– Mogę prosić wody? – zapytał Wamon z suchością w gardle, jakiej nie pamiętał od czasów pierwszych egzaminów doktoranckich. Tak jak na powierzchni, przed zejściem, znów dopadło go błogie i przerażające wrażenie beznadziejnej swobody, przelewające się skrajnymi temperaturami przez żyły w jego ciele. Zlał go pot, choć w pomieszczeniu było chłodno.

Generał Coverly sięgnął pod stół i wyciągnął butelkę wody, która najwidoczniej czekała tam na tę chwilę. Potem z szafki za plecami wziął szklankę, odstawiając galerię kolorowych alkoholi w gąsiorach i fiolkach w kształtach wzajemnie się prześcigających w kuriozalności. Na pół opróżnione, więcej mówiły o mężczyźnie niż wszystkie dotychczas jego słowa. Z brzdękiem szkła postawił przed profesorem naczynie pełne wody.

– Tylko niech się pan nie zakrztusi – skomentował z niepasującym do chwili uśmiechem.

– Dziękuję.

– Projekt na początku zakładał wypracowanie w człowieku odporności na warunki kosmiczne – kontynuował dowódca.

– Jak to kosmiczne? – wtrącił Wamon, próbując balansować zalaną po brzegi szklanką.

– Odporność na zabójcze promieniowanie, skrajne temperatury i wyeliminowanie potrzeby oddychania.

– Oddychania?! – wykrzyczał profesor, czując, jak zimna woda spływa mu po dłoni.

Coverly nawet nie drgnął, tylko wpatrzony w oczy gościa mówił dalej, jakby chciał wyrzucić z siebie tę historię, zanim wypity przed spotkaniem alkohol przestanie działać.

– By to osiągnąć, człowiek musiał stać się maszyną. Z takim założeniem wyszedł profesor Halladon, który zaproponował, by zastosować metodę zastąpienia komórek ciała człowieka specjalnym materiałem zwanym grenitem, wytwarzanym na bazie grafenu. Udało mu się stworzyć materiał elastyczny i jednocześnie niezwykle wytrzymały, który potrafił przyjmować dowolne kształty, nawet ludzkich komórek, co więcej doskonale naśladował tkankę organiczną.

– To jakiś absurd! Co to za profesor? Nie znam go.

– Zmarł w 2138 roku, a całe życie spędził w tym ośrodku, więc nie mógł go pan znać.

– Chciał podmieniać komórki w ludzkim organizmie grafenem? – dalej pytał Wamon, zapominając o szklance, z której nie wziął ani łyka.

– Nie grafenem, tylko grenitem, to zupełnie co innego. Z tym, że przez lata żadna z prób się nie udała.

– Sugeruje pan, że ktoś odważył się wziąć udział w takim eksperymencie?

– Tak, dokładnie sto dziewięć osób. Dziewięćdziesiąt siedem z nich zmarło – wyliczył generał, zaciskając dłonie na blacie stołu i jak wulkan wstrząsami, zdradzając nadchodzącą erupcję.

Wamon otworzył szeroko oczy i przypomniał sobie o wodzie. Przystawił zeszytniałą dłońią szklankę do ust, ale jej przechylenie wydawało się zadaniem trudniejszym niż wiązanie butów z

wyrwanymi ze stawów palcami. Świadomy wzroku generała, wiedział, że ujawnia słabość, ale w tym momencie nic go to już nie obchodziło, bo musiał przepłukać zebrany w gardle szorstki piach lęku.

– Pozostała dwunastka żyje i od około sześciu lat podlega stałej przemianie, komórka po komórce – relacjonował generał. – W tej chwili w najbardziej zaawansowanym stadium jest major Brad Marsellas. Jego ciało w siedemdziesięciu ośmiu procentach to zmodyfikowany grenit.

Wamon podniósł się i stanął jak żołnierz na baczność, zaciskając dłoń na szklance. W jego głowie, niczym pocisk z karabinu, pędził proces logiczny, jakiego nie mógł zatrzymać, a który pchał go w stronę jedynej możliwej konkluzji.

– Stworzyliście ludzi-maszyny, a jeden z nich zwariował i straciliście nad nim kontrolę – wyrecytował epitafium z własnego nagrobka i opadł bez sił na krzesło ze skradającym się na ustach ironicznym uśmiechem. – Jak zła jest sytuacja? – zapytał.

– Jest tragiczna – przyznał Coverly, powoli gubiąc generalskie maniery. – Jego możliwości przerosły wszelkie oczekiwania. Posiada niezniszczalne ciało, prawie nie potrzebuje tlenu, jest przynajmniej trzykrotnie szybszy, nie męczy się i nie wymaga w ogóle zewnętrznych źródeł energii – wymieniał jego cechy, mieszając dumę z obawami i tracąc opanowanie, które jak burzony budynek odsłoniło kłęby strachu.

– I się wam zbuntował – dodał martwym głosem Wamon.

– Musi pan zrozumieć, że do testów braliśmy ochotników, którzy wiedzieli, co ich czeka. Wybieraliśmy spośród nich osoby o wysokim poczuciu obowiązku, patriotyzmu i wyraźnym zrozumieniu wartości moralnych – przekonywał mężczyzna, czując się niesłusznie oskarżony. Wstał i zrobił kilka kroków, by uwolnić spięte dreszczami ciało. Był tak samo przerażony jak profesor. – Gdy projekt zaczął działać, gdy modyfikacje zaczęły ich zmieniać, myśleliśmy, że przyspieszyliśmy ewolucję człowieka, że w ten sposób ocalimy siebie! Dzięki temu moglibyśmy żyć w kosmosie, w próżni, na każdej planecie! Niestety, proces przemiany trwa zbyt długo, a czas nam się kończy, dlatego zmieniliśmy plan. Ta dwunastka, która jest już w zaawansowanym stadium przemiany, to mieli być strażnicy. Grupa superludzi, którzy otrzymają zadanie wywiezienia całej genetycznej historii ludzkości w kosmos, znalezienia dla nas nowego domu i odrodzenia ludzkości raz jeszcze, w nowej, lepszej formie! – niemal ryczał generał, wlewając ciekły strach w profesora.

Wbity w fotel przemową, przygnieciony rozmiarem obłąkania rzeczy, Wamon trzymał się szklanki obiema dłońmi, jak ostatniego korzenia nad przepaścią.

– Bardzo jest niebezpieczny? – zapytał.

– To nieistotne – stwierdził Coverly, chwytając w garść swoje lęki. – Istotne jest to, czy będzie pan w stanie go przekonać i przywrócić w nim wiarę w projekt.

– Wiarę w projekt? Jeśli on zwariował, jeśli jego mózg został uszkodzony przez wasz proces przemiany, to ja nic nie poradzę.

– Jego mózg w sporej mierze jest jeszcze nietknięty. Proszę spróbować – powiedział generał głosem podszytym desperacją.

– Będę potrzebował czasu, by się przygotować.

– Miał pan cały dzień.

– Ale nie sądziłem, że będę musiał rozmawiać z maszyną! – krzyknął Wamon i wlał w siebie wszystko, co pozostało mu w szklance. Tracił kontrolę, a tego nienawidził najbardziej na świecie.

– Jak wspomniałem, jego ciało jest syntetyczne, ale mózg wciąż działa jak ludzki – przypomniał Coverly, naśladując starania profesora, by odzyskać spokój. Oboje przez chwilę skupili się na świecie wewnętrznych przeżyć, gdzie prowadzili atomową wojnę absolutnego terroru z kruchą brawurą. Tymczasem na zewnątrz wyglądali niczym dwójka pokłóconych i obrażonych na siebie dzieci.

– Już czas – oznajmił generał, rzucając okiem na zegar nad drzwiami. – Przygotuje się pan w drodze do jego pokoju. Proszę mi wierzyć, że nie wzięliśmy pana z łapanki i jesteście pewni, że ma pan do tego zadania odpowiednie kwalifikacje – dodał i zaprosił gościa do wyjścia.

Wamon żył już tylko nadzieją, że za chwilę światło dnia wyrwie go z tego koszmaru. Czekał na przebudzenie, niczym więzień zakuty w łańcuchy, wstał z fotela, by podążyć za generałem w stronę windy, która miała zabrać go na szafot. Rozbity i przegrany, płynął z prądem, a narastający szum zbliżającego się wodospadu konsekwencji zagłuszał sobie w głowie rozhisteryzowanym śmiechem cyrkowego klauna. Jak beznadziejna była sytuacja, mógł wyczytać z twarzy mijanych po drodze naukowców. Ze spuszczonej głowami, niczym dzieci trawione poczuciem winy, unikali spojrzeń profesora i natychmiast skręcali w dowolny korytarz, by zdążyć na wyimaginowane, pilne spotkania.

Generał zaprosił Wamona do szklanej klatki windy, która opadała w głąb ośrodka niczym przezroczysta skrzynka pełna pożywienia dla rezydującej w otchłani bestii. Minęli dwa jasne piętra, pełne gorączkowo zajętych swoimi sprawami badaczy, aż dotarli do mrocznego i pustego poziomu, jak symboliczne piekło, będącego ich ostatnim przystankiem w podróży.

– Gdzie oni są? – zapytał profesor, zanim zebrał odwagę, by wyjść z windy.

– Siedzą w swoich pokojach.

– Cały dzień? Nie nudzi się im? – próbował żartować Wamon, w pełni oddany roli klauna, który ze sceny nie widzi w ciemnościach schowanej widowni. Nieskruszona humorem twarz generała szybko jednak wyrwała go z ostatniego bastionu nadziei.

– Oni nie czują nudy, bo żyją w innym świecie. Są nieśmiertelni, więc upływ czasu dla nich nie istnieje. Poza tym ich mózgi pracują bardziej jak komputery, to znaczy nie mają potrzeb jak my, pragnienia, głodu, nudy, rozumie pan – opowiadał Coverly, ciągnąc go za ramię przez pusty korytarz.

– Ale mówił pan, że ich mózgi są wciąż biologiczne.

– Tak, no tak. To tu – powiedział generał i wskazał palcem niepozorne drzwi. – Życzę powodzenia – dodał, poklepał ramię profesora stalową dłonią, z każdym uderzeniem łamiąc mu kolejną kość, i ruszył z powrotem, robiąc ogromne kroki, by jak najszybciej uwolnić się od problemu.

Wamon stał, niczym marmurowy posąg, przed drzwiami do swojej prawdopodobnej zagłady. Otoczony ciszą i wrażeniem zapieczetowanego sarkofagu, myślał nad strategią działania, ale za nic nie potrafił jej w głowie rozpisać. Wiedział jedynie, z jakim rodzajem psychiki miał do czynienia, choć fakt, że mózg Marsellasa po części był już przeobrażony, mógł kompletnie zniwelować tę jedyną przewagę. Jak na równi pochyłej, staczając się w otchłań dławiącego siły witalne lęku, czuł, że jeśli natychmiast nie wejdzie do środka, zamarnie na zewnątrz pokonany.

Gestem ręki przesunął drzwi i nie miał już odwrotu. Wszedł do środka i od razu spostrzegł, że cały wystrój pomieszczenia został bardzo skrupulatnie przygotowany i zaprojektowany, by wzbudzać wrażenie chaosu ukrywającego pewną zagadkę. Na ścianach wisiały dwa specjalne wojskowe mundury, niewątpliwie niegdyś noszone przez Brada. Pod lewą ścianą stało klasyczne łóżko polowe. Na nim rozrzucone wały się ubrania, bielizna i jedna jedyna papierowa książka, położona okładką do dołu i przykryta jakąś koszulą, że Wamon nie mógł nic z niej odczytać. Pod pryczą ustawiono buty, podłogę pokrywały losowe przedmioty, budujące wrażenie sztucznie wytworzonego bałaganu, zaś na skrupulatnie wydzielonej w środku pomieszczenia przestrzeni leżała klasyczna, długa broń palna. Równoległe z jej lufą ułożono dwa naboje. W sali panował półmrok wytwarzany przez niewielką lampę na suficie, która pracowała tylko częścią ogniów świetlnych, a w powietrzu czuć było stęchliznę, jak w długo niewietrzonym, zamkniętym magazynie.

Profesor stał przy drzwiach w obawie, że może naruszyć tę przygotowaną z wysiłkiem scenografię. Jego skanujący pomieszczenie wzrok zatrzymał się na najdalszym kącie pokoju, gdzie skulony siedział Brad. Ubrany w cywilne rzeczy, zniszczone i podarte, tkwił nieruchomo, czekając z pewnością na pierwsze słowa gościa.

Jak artyleryjski pocisk burzący, w głowę Wamona trafiła myśl, że przecież zupełnie nie pasuje do tego zadania. Był psychologiem i posiadał sporą wiedzę ze wszystkich nurtów nauki umysłu, ale ostatnie kilkadziesiąt lat poświęcił badaniom wpływu długotrwałej izolacji na zachowanie człowieka. Nawet z pamięci, której nigdy nie miał dobrej do nazwisk, mógł wymieni ć dwudziestu lepszych kandydatów na jego miejsce. Przeklinał teraz pod nosem, że wcześniej o to nie zapytał Onstroma ani nawet generała Coverly. Nie było jednak odwrotu. Wszedł bezmyślnie na pole minowe, więc nie pozostało już nic innego, jak zamknąć oczy i iść przed siebie.

– Podobno tożsamość jest zawiłą relacją prostych doświadczeń i nawyków – powiedział i czekał na wybuch, który nie nastąpił.

Skulony w kącie mężczyzna powoli, mozolnie, jakby budząc się ze snu, wstał i zrobił dwa kroki, wchodząc w światło lampy. Jego postać nadal była ludzka, ciało przyjmowało prostą postawę, na głowie błyszczały nieumyte, ciemne włosy, a zarośnięta gęsto twarz zdradzała grymas, który profesor rozpoznał jako niechęć. Instykt Wamona bił jednak na alarm. Stercząca przed nim kreatura wzbudzała podświadomą, zakodowaną w jądrze istnienia odrazę i sprawiała wrażenie obcej istoty nieudolnie naśladowującej formę człowieka. Odbijające się od Marsellasa światło zdradzało jego jakby polakierowaną skórę i oczy o matowym błysku figury woskowej.

– Czy wiesz, czym jestem? – zapytał mężczyzna.

– Człowiekiem, maszyną, eksperymentem – wymieniał Wamon – żołnierzem, bohaterem...

– Potworem – dokończył Brad głosem kojącym, niskim, ale metalicznym i równie osobliwym jak cała jego postać. – Jesteś psychologiem? – zadawał kolejne pytania, stając tuż pod źródłem światła.

– Tak – odpowiedział profesor, robiąc krok w tył i natychmiast łapiąc się na swoim błędzie.

– Najlepszym?

– To ciekawe, że pytasz. Szczerze mówiąc, jest wielu lepszych – przyznał Wamon, naprężając usta w uśmiech i próbując w ten sposób pokazać opanowanie. Nie miał go nawet grama. Z trudem łapał powietrze i ledwo kontrolował drżenie ciała, które odruchowo wyczuwało zagrożenie i samoistnie reagowało wbrew woli umysłu. – W każdym razie jestem tu, żeby ci pomóc albo przynajmniej spróbować – mówił, przetykając ślinę jak kamienie.

– Boisz się?

– Każdy by się bał.

– Nie ma czego – mruknął burzowym łoskotem Brad, spływając po plecach profesora prysznicem ciarek. – Usiądźmy – zasugerował i płynnym gestem pokazał stół pod ścianą. – Mamy tu wszystkie alkohole świata. Może się napijesz? – z blaszaną uprzejmością zaproponował, przełamując skromny uśmiech i odsłaniając zęby białe jak śnieg Arktyki. Jego dłoń wylądowała z delikatnością motyla na plecach gościa, zachęcając subtelnym pchnięciem w stronę wysuniętego już dla niego krzesła.

– Chyba nie powinienem.

– Jak wolisz, ale przy mnie możesz prosić, o co chcesz. Tu spełnią każdą moją zachciankę i nawet nie muszę im specjalnie grozić.

– Groziłeś im?

– Chcesz mnie pouczać? – zapytał Brad, a jego słowa zabrzmiały jak odbezpieczona broń. – To chyba niezbyt rozsądne podejście – zasugerował i stalową prasą ręki wbił profesora w krzesło.

– Na pewno nie po to tu przyszedłem. Właściwie to nikt nie powiedział mi, po co tu przyszedłem i chętnie bym się tego dowiedział – Wamon próbował wykuć z lęku żart, siedząc sztywno w marmurowej pozie, jak plastikowy robot powyginany w zabawie przez dziecko. – Powiesz mi, czego ode mnie chcesz? – zapytał z prośbą w głosie.

– Rozrywki – szczerze odpowiedział Brad i zajął miejsce po drugiej stronie stołu, gdzie czekała butelka czystej wódki i dwie wysokie szklanki. – Pijesz? – znów zaproponował, rozlewając alkohol w idealnie równych proporcjach, jakby miał miarkę w dłoniach. Nie czekając na profesora, wtoczył w siebie wszystko jednym łykiem i natychmiast przygotował kolejną porcję.

– Nie, dziękuję – wydukał Wamon, przerażony widokiem zmechanizowanej libacji.

– Bez obaw, nie mogę się upić – zapewnił Brad i na odruchowym, choć zbędnym, wydechu przełknął drugą rundę. – Alkohol już nie daje mi tego kopa co kiedyś – narzekał – nie zabiję nim już nawet nudy.

– Zawsze możesz pić dla smaku – skromnie doradził profesor, a syk ostatnich jego sylab zagłuszył huk roztrzaskanej o ścianę szklanki.

– Dla smaku?! – ryknął Brad, wprawiając w drżenie rozsypane na ziemi szkło. – Ci debile z góry spieprzyli moją przemianę i przez to teraz nie czuję żadnego smaku! Nic nie czuję! – zionął szałem i uderzył pięścią w ścianę, która zawyla kruszonym betonem i pokryła się pajęczą siecią pęknięć. Jedna z rys uciekła w sufit, ciągnąc za sobą wzrok przerażonego profesora. – Przepraszam – powiedział żołnierz, oglądając burzącą mury dłoń, jak dobrze wykonane narzędzie i zabójczą broń. Znów opanowany, zagadkowy, ale dumny z siebie, dodał: – Gdyby nie przemiana, połamałbym wszystkie kości.

– Co? – pisnął Wamon.

– Mniejsza z tym. Ważne, że cię przysłali i wreszcie możemy porozmawiać.

– O czym?

– O moich zdolnościach, o tym jak się zmieniłem. Nie chcesz wiedzieć?

– Chcesz się pochwalić? Po to mnie tu ściągnałeś? – zapytał Wamon, trzymając dłońmi uda, które latały jak galaretki w mikserze. – Możemy porozmawiać o tej broni – zaproponował i stalowymi zębami karku odwrócił głowę, by wskazać położony na podłodze karabin i naboje.

– Pewnie myślisz, że to symbol władzy, moja ukryta żądza kontroli, znak dominacji powiązany z czasami, gdy byłem w wojsku – zasugerował Brad.

– Skąd wiesz, co myślę?

– Bo wiem o tobie wszystko.

Serce Wamona zabiło mocniej, a potem stanęło na chwilę, prezentując mu przed oczami serię obrazów z możliwych scenariuszy, gdyby naprawdę zmarł tu i teraz. Zastanawiał się, czy ktoś by mu pomógł i jakie zabrzmiałyby pierwsze słowa nad jego zimnym ciałem. Atak paniki szybko ustąpił, ale pytanie wciąż stało: dlaczego został tu zwabiony i zamknięty w jednym pokoju z potworem, maszyną, postczłowiekiem, pożerającym go bezdusznym, nieludzkim spojrzeniem? Dopiero teraz zauważył, że Brad nie zamyka powiek, nie mruga i nie przeskakuje źrenicami. Jak soczewkami kamer nieustannie śledził każdy grymas, ucieczkę wzrokiem i zawahanie w ruchu warg profesora, któremu wiedza, lata doświadczeń, rozsądek były przeźroczystą z płótna tarczą. Teraz mógł się już tylko kierować instynktem.

– Nie masz pojęcia, co tu robisz, prawda? – zapytał Brad i parsknął śmiechem, trafiając Wamona wybuchem radości jak gradem kul. – Pozwól więc, że opowiem ci trochę o sobie – uprzejmie zaproponował i wstał z krzesła, skrobiąc nim nieprzyjemnie dla uszu podłogę. Potem podszedł do leżącej broni, podniósł ją i przyłożył do piersi. – Widzisz, ja już nie jestem człowiekiem. To twoje pierwsze błędne założenie. Ja nie myślę jak ty, nie widzę świata jak ty, nie ograniczają mnie słabości ślepej ewolucji. Światło jest dla mnie klarowną transmisją danych, przestrzeń to rozgałęzienie możliwości, a czas... – zawiesił głos, pozwalając chwili przepłynąć tuż obok – ...nie istnieje – dokończył i schylił się po jeden z naboń. – Byłeś kiedyś na basenie? Zanurzałeś głowę pod wodą? Otwierałeś pod nią oczy? – pytał, wkładając pocisk do komory. – Może kojarzysz ten tępy szum w uszach i rozmytą mgłę niewyraźnych plam, które zamykają cię w percepcyjnej próżni. Masz wtedy wrażenie, że świat zamyka się wokół kokonem i nic nie istnieje dalej niż na wyciągnięcie ręki, ale gdy w końcu wynurzysz się na powierzchnię, powłoka pęka z hukiem i obrazy wlewają się w twój umysł wodospadem. Wy wciąż tkwicie pod wodą, a ja jestem już nad jej taflą. Choć nie potrzebuję płuc, to mogę wreszcie oddychać, choć nie potrzebuję serca, to po raz pierwszy poczułem, że bije – przyznał Brad. – Oczywiście bije symbolicznie, bo faktycznie to serce dawno wyłączyłem – dodał dumnie i pękł drapieżnym uśmiechem. – To bardzo stary karabin samopowtarzalny. Ludzie zabijali się nim podczas II wojny światowej. Wiesz, skąd go mam?

– Nie – wyznał z za zatrzaśniętych łękami zębów Wamon niezdolny, by poprawnie wyartykułować najprostsze sylabiczne zlepienia. Nawet nie próbował przejmować kontroli nad sytuacją. Zapięty w fotelu diabelskiej kolejki, mógł tylko wyteńczyć odwagę, napiąć mięśnie i czekać, aż ciemność tunelu pożre go, przeżuje i wypluje zmielonego razem z metalem wagonu.

– Generał Coverly mi ją dał – przyznał Brad i lepiej chwycił broń, wkładając kolbę pod pachę. – Tak, dokładnie, kazałem mu dostarczyć ten karabin – pochwalił się z wysoko uniesioną brodą. – Generał dostarczył mi tę broń, a teraz dostarczył mi też ciebie – dodał, płynnym ruchem kierując lufę w stronę profesora.

Wamon nie wytrzymał i skoczył do drzwi, niczym sarna przez drogę, ale żadnym gestem nie mógł ich otworzyć. Znowu opłynęło go uczucie z powierzchni: zimna pewność zagłady, kojona ciepłem jej nieuchronności. Jak przyjemnie jest znać godzinę własnej śmierci, która nastaje czarnymi chmurami nadchodzącej nocy. Spokojne i majestatyczne obłoki zamykają wtem powieki oczu najpiękniejszym widokiem skłębionych sił cyrkulacji istnienia, bez pośpiechu i osądu, traktując skowronka i pszczołę, lwa, człowieka i rybę na równi.

– Profesorze, nie panikuj. Nic ci nie będzie, jeśli tylko zachowasz zimną krew – zapewniał Brad, opuszczając broń. – Sam dobrze o tym wiesz. W końcu nawet robiłeś szkolenia na ten temat.

– Szkolenia? – Wamon próbował zrozumieć grę, którą major z nim toczył. – Skąd to wiesz?

– To nie jest oczywiste? W głowie mam dostępną całą sieć. Wgrano mi każdą informację, jaką ludzie kiedykolwiek stworzyli: obraz, film, tekst, w tym też wszystkie twoje wykłady z Akademii i szkolenia z ośrodka badawczego.

– Co jeszcze o mnie wiesz? – zapytał Wamon, zatracony w zaklętym kole. Strach napędzał dezorientację, a ta z kolei przeszkadzała się skupić, dezintegrując myśli, które potęgowały przerażenie i zamykały napędzający się krąg szaleńczej dysfunkcji. Uwikłany w niezrozumiałe zasady rozgrywki, szukał stabilności w przekonaniu, że dopóki bierze w tym zwyrodniałym przedstawieniu udział, będzie żył. – Rozumiem, że czegoś ode mnie chcesz, po coś mnie tu sprowadziłeś – powiedział, wertując przestrzeń pokoju jak kartki książki. – Zastanawiam się, jaki jest twój cel. Zemsta? Władza? Może chcesz odzyskać człowieczeństwo? – głośno myślał, mówiąc to, co pierwsze splecie mu z pomysłów język.

– To niemożliwe.

– Nie powiesz mi, co tobą kieruje? Zresztą, nie musisz. To nie jest ważne – coraz pewniej przemawiał profesor. – Czytałem twoje akta i wiem, że jesteś rozczarowany służbą w DARPA. Jeśli faktycznie oglądałeś wszystkie moje szkolenia i wykłady, to powinieneś wiedzieć, że takie uczucia kumulują się i budują potrzebę działania...

– Nareszcie! – zawył Brad, podnosząc broń w geście zwycięstwa. – Teraz będziemy mówić o moich potrzebach, ukrytych pragnieniach i kumulującej się nienawiści do świata – prześmiewczo planował całą terapię. – Zaczniemy od lęków, poszukamy ich źródeł, a potem wspólnie dotrzemy do rozwiązań?

– Doskonale. Wiesz już, o czym chcę rozmawiać! – Wamon podchwycił sarkazm rozmowy, szukając w rozczarowanej inteligencji podstaw porozumienia. Odkleił plecy od drzwi, gotowy stanąć twarzą w twarz z własnym strachem i uzbrojonym mężczyzną w środku pokoju. – Możemy zacząć od twojego dzieciństwa, jeśli chcesz.

– Dzieciństwo miałem płaskie jak kośćcówka śrubokręta – zażartował Brad. – Lepiej opowiem ci o moim bohaterskim czynie, za który nagrodzili mnie Gwiazdą Honoru. Pamiętam ten wybuch doskonale, bo widzisz po transformacji mój mózg potrafi odtworzyć go jak bardzo realistyczny film ze wszystkimi szczegółami – opowiadał, uderzając palcem w skroń. – I wiesz, co wtedy czułem?

– Strach?

– Ból, kurwa! – wykrzyczał Brad, metalicznym skrzekiem wyciskając z profesora odwagę, jak wodę ze szmaty. – Ale to nic, bo za to nauczyłem się wtedy dwóch istotnych rzeczy. Chcesz wiedzieć jakich? – zapytał. – Po pierwsze, jak wyleje się z ciebie dostateczna ilość krwi, to jesteś odczuwalnie lżejszy. Tak mi powiedział wtedy jeden z chłopaków w drużynie.

– A druga rzecz? – profesor pokazywał niezłomne zainteresowanie.

– Druga jest taka, że odwaga kiepsko łąta dziury po odłamkach granatu.

– Zawiodłeś się?

– Czy zawiodłem? Przed wybuchem chciałem być bohaterem, a po nim chciałem pozabijać wszystkich wokół. Jak więc myślisz?

– Dlaczego?

– Nie ma takiej przyjaźni, za którą warto zrobić z brzucha sito.

– Ale przedtem tak nie myślałeś? – zadawał kolejne pytania Wamon, odważnie robiąc krok w przód.

– Przedtem jeszcze nie wiedziałem tych dwóch rzeczy.

– Ale czy to nie ta bohaterska postawa zdecydowała, że przyjęli cię do tego projektu?

– Możliwe.

– Myślisz, że popełnili błąd?

– To ich błąd.

– Nienawidzisz ich? – zapytał Wamon, a wtedy Brad jednym ruchem przystawił sobie lufę karabinu do podbródka i zachowując w oczach znudzoną obojętność, bez ostrzeżenia wypalił. Profesor padł ścięty hukiem i przeczołgał się pod ścianę, w nozdrzach czując proch, a w ustach metal i smak śmiertelnego przerażenia.

– Ja nie jestem już człowiekiem – rzekł major, zautomatyzowanymi słowami wieńcząc echo wystrzału. Potem rzucił na ziemię karabin, który zabrzęczał u stóp profesora. – Dlaczego więc traktujesz mnie, jakbym nim był? – zapytał, nieprzejęty wykonanym właśnie aktem potencjalnego samobójstwa.

Wamon wstał z ziemi i z agresją otrzepał ubrania, uderzeniami karcąc się za chwilę słabości. Miał dość cyrkowych sztuczek.

– Ale wciąż tu jesteś, a ja wciąż żyję. Gdzieś na dnie tego grenitowego mózgu, w tych paru jeszcze nieprzemienionych procentach, coś w tobie z człowieka zostało. Pewne poczucie samotności lub pragnienie kochania, bo przecież innych uczuć tak naprawdę nie ma. W każdym razie jest w tobie coś, co nie daje ci spokoju, bo inaczej cała ta rozmowa nie miałaby sensu! – wykrzyczał bez strachu z zaciśniętymi pięściami.

Jego gniew, niczym wiatr, rozgonił pochmurność na twarzy Brada.

– Mówiłem ci, że sprowadziłem cię tu z nudów i dla zabicia czasu – z uśmiechem powiedział, a potem spojrzał na ścianę za profesorem.

Wamon zrobił piruet i zobaczył kolejny analogowy zegar nad drzwiami. Coś w nim zaskoczyło i wróciło z ulgą na miejsce, jak przesunięty w plecach dysk. Wiedział już, że wpadł w zaprojektowany

specjalnie dla niego labirynt zagadek, ale natychmiast postanowił ten fakt ukryć, by zachować swoją jedyną w tej grze przewagę.

– Na co więc czekasz!? – krzyknął, kipiąc udawaną złością. – Po co tu siedzisz?! Mógłbyś równie dobrze bawić się na powierzchni!

– Mój proces przemiany jeszcze się nie skończył. Podobnie moich towarzyszy.

– Czyli czekasz na pełną przemianę, a potem co? Zabijesz wszystkich i przejmiesz władzę nad światem na te ostatnie parę lat? – Wamon pytał z prowokacją w każdym kroku, który zbliżał go do mężczyzny.

– Dlaczego myślisz, że zależy mi na władzy?

– A dlaczego nie? Mogę się mylić, wyprowadź mnie z błędu, ale po tym, co zobaczyłem, to myślę, że jesteś wadliwą maszyną, która straciła kontakt z rzeczywistością i chce wszystko zniszczyć, a najchętniej samą siebie – stwierdził profesor i rozłożył ręce, pokazując, że nic nie może na to poradzić. – Taka jest moja diagnoza – orzekł i dodał: – Kończymy ten cyrk?

– Jeszcze chwila – odpowiedział Brad i zaklaskał w spowolnionym tempie, by wynagrodzić aktorskie starania Wamona. – Jesteś bardzo inteligentny i potrafisz adaptować się do sytuacji. To cenna umiejętność – stwierdził. – To wiesz już, dlaczego cię tu zaprosiłem?

– Nie wiem, nie mam pojęcia.

– Profesorze, pomyśl, zastanów się. Jesteśmy blisko finału – zachęcał go do wysiłku Brad.

– Masz jeszcze jeden nabój, może to dla mnie?

– Oba były dla ciebie.

– Co? – mruknął zdziwiony Wamon i zamarł chwilę w zamyśleniu, z coraz większym łakomstwem przyglądając się sali. Najpierw bez celu, rzucając wzrokiem gdzie poniosła go żądza chwili, a potem z większą uwagą poszukiwał wskazówek i szukał korelacji między przedmiotami. Rozbiegane spojrzenie zatrzymał dopiero na łóżku polowym, gdzie leżała jedyna książka w pokoju.

– Po co ci ta książka, jeśli masz całą sieć w głowie? – zapytał i widząc rozkwitający uśmiech na ustach majora, podążył dalej ścieżką świeżo odkrywanych śladów.

Z wilczym głodem skanował każdy detal, a w myślach pielęgnował bujnie rosnące teorie, krojąc je jak na stole operacyjnym, skrupulatnie ważąc ich znaczenie, mierząc potencjał, porównując między sobą.

– Dwa naboje – głośno myślał. – Dlaczego tylko dwa? – zwrócił się do Brada, który wymowną ciszą napędzał jego śledztwo. – Masz dwa mundury na ścianie, jeden ciężki, zbrojony, drugi lekki do zadań specjalnych. To może symbolizować jakiś proces przemiany lub rozwoju, a ten bałagan na ziemi sugeruje bunt lub może gniew. Jesteś ubrany po cywilnemu, ale materiał jest zniszczony. Czy to tęsknota za czasem służby? – dociekał, węsząc dookoła odpowiedzi, lecz gubiąc się w gąszczu powiązań i zawitych pomysłów.

– Bez pośpiechu, profesorze. Masz jeszcze czas, możesz wszystko zmienić – zachęcał Brad.

– Mogę zmienić? – jak echo powtórzył Wamon, a przez jego żyły znów popłynęło uczucie słodkiej swobody wymieszanej z widmem zagłady.

Wypełniający powietrze zapach tej niepowtarzalnej mikstury przywrócił mu obraz sprzed wielu lat, gdy cudem oczyszczony z oskarżeń o szpiegostwo i zdradę ocalił skórę, choć był winny. W Akademii i później w ośrodku badawczym przynależał do odwróconych i dwukrotnie uniknął kary, którą za niego ponieśli w najwyższym wymiarze inni. Przez to zrezygnował z walki, ustąpił władzy, odciął się od terrorystów, zamknął na świat, zajął tylko pracą naukową, a wtedy oplotło go to egzotyczne, ambiwalentne uczucie, mieszanka skrajnie emocjonalnych przypraw, bo wreszcie zakończył grę pozorów, zdjął dwustronny płaszcz oszustem szyty, odzyskał przeciętność, monotonię dnia i tym samym wyrwał sobie z piersi serce. – Zagadka dotyczy mnie, nie ciebie! – krzyknął. – A ten bajzel na ziemi to odtworzenie mojego dawnego pokoju w ośrodku! – spostrzegł, rękami przytrzymując rozsądane pomysły skronie.

Brad skinął głową tak delikatnie, że gdyby nie jego mechaniczna natura, można by przypisać ten gest przypadkowemu drzeniu mięśni.

– Nosisz cywilne ubrania, bo jesteś mną! – Wamon odkrywał kolejne części układanki. – Tylko dlaczego są tak podarte? – pytał siebie, poszukując wskazówek jak głodny okruczość. – To musi coś znaczyć, wszystko tu coś znaczy! Broń! Ten strzał w podbródek! – wykrzyczał, jak dżgnięty w plecy lodowym soptem. – Rozumiem, już rozumiem. To dosłowna reprezentacja mojego powiedzenia, że własnymi czynami możemy zrobić sobie największą szkodę. Często to powtarzałem w Akademii i

potem w ośrodku, to takie oczywiste! – wył uradowany. – Ale dlaczego dwa naboje? Książka! – zmienił punkt uwagi, pokazując pryczę wyciągniętym palcem. – To też odniesienie do szkoleń, z których uczniowie wyciągnęli wniosek, że najważniejsze w pojedynku psychologicznym to nie dać się przeczytać! A te mundury? – zapytał, teraz wytykając, jak ciekawskie dziecko, wiszące na ścianie wojskowe kombinezony.

– To pamiątki po mojej karierze – zdradził Brad. – Powiesiłem je, żeby nigdy nie zapomnieć swoich błędów – powiedział aksamitnym i delikatnym, jakże podejrzanym, głosem.

Wamon podszedł bliżej do eksponatów z dziwnym przeczuciem, że nie chce już poznać prawdy. Wpatrzony w detale, szwy materiału, małe metalowe akcesoria, poszukiwał ostatniego elementu układanki, fundamentu całej zagadki, odpowiedzi na pytanie, co tu robi. Spojrzał znów na zegar nad drzwiami i zrozumiał, a potem pobałdł.

– W ciągu ostatnich dni odtworzyliście dwie moje zbrodnie, za które śmierć przez powieszenie poniosły dwie niewinne osoby – głośno wyrecytował swoją winę i zawiesił wzrok na przeźroczystych, ledwo widocznych żyłkach, które utrzymywały mundury na ścianie. – A wszystko zaczęło się przedwczoraj, równo o dwudziestą, słowami Walkina Onstroma już w drzwiach, kiedy mówił, że zapomniał o protokole. Od tamtego momentu zilustrowaliście ciąg wydarzeń z Akademii i ośrodka badawczego, dbając o to, by zachować prawidłowe, choć skompresowane, odstępy czasowe – wyartykułował apatycznym głosem, wciąż stojąc plecami do mężczyzny, którego jeszcze przed chwilą nazywał potworem, samemu nim będąc. – Nikt nie znał prawdy. Skąd macie te informacje? – zapytał.

– Powiedzmy, że od dnia twoich badań wstępnych w Akademii mamy cię nieustannie na oku.

– Rozumiem. – Wamon stanął twarzą w twarz z majorem. – Tylko po co to całe przedstawienie?

– Wierzę, że jesteś wystarczająco inteligentny, żeby samemu do tego dojść – rzekł Brad i rozłożył ręce, pokazując ogół sali. – Zbrodnie nas nie interesują, sami popełniliśmy ich mnóstwo.

– No tak – mruknął profesor i pokiwał głową. – To takie oczywiste – stwierdził, przelamując na twarzy delikatny uśmiech. – Chcecie, żebym do was dołączył.

– Plan jest prosty – oznajmił Brad. – Przejdziemy metamorfozę i zabierzemy ziarna ludzkości w daleką podróż przez wieczność, nieskończoność i ku wybaczeniu dla nas i dla wszystkich – opowiadał o misji już bez grania, mechanizowania gestów, ukrywania w słowach tajemnic i udawania maszyny. – To jedyna szansa na ocalenie i okazja, żeby zmyć z rąk krew.

– Oddając człowieczeństwo?

– Oddając część człowieczeństwa – sprostował Brad. – Zresztą to nie ma znaczenia, bo przecież, profesorze, ty swoje człowieczeństwo utraciłeś już dawno, prawda? – zasugerował, podchodząc do niego bliżej. – Po tym, jak przez ciebie zginęła druga niewinna osoba, poddałeś się, zrezygnowałeś, umarłeś i czekałeś już tylko na akt zgonu, którego nikt przez lata nie chciał ci wydać – mówił z wyciągniętą przed sobą otwartą dłonią.

Najpierw cicho, jak dzwonienie deszczowych kropli, a potem z hukiem nagłej ulewy śmiech Wamona wypełnił pokój.

– Los całej ludzkości, jak widzę, jest w rękach głupców – zacytował i uścisnął błyszczącą dłoń majora. – Będzie bolało? – zapytał.

– Ani trochę – skłamał Brad i po raz pierwszy normalnie mrugnął.